Nr. 4 We Lwowie, 1 kwietnia 1935 Rok 57



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO
WYCHODZI 1-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

WITOŁD ZIEMBICKI

MYŚLISTWO A MUZYKA

(Ciąg dalszy)

II

MARSZ SPALSKI

Audycja z dnia 1 lutego b. r.[1]), poświęcona „Pieśni myśliwskiej", była pierwszą tego rodzaju produkcją w Polsce. Zanim więc przejdziemy do innych tematów, zatrzymajmy się przy jej programie.

Jako pierwsza odśpiewana była pieśń, nazwana „Marszem spalskim" względnie „Pobudką spalską". Zapoznanie się z nią zawdzięczam uprzejmości hr. Adama Starzeńskiego z Kościelca, prezesa krakowskiego Oddziału M. T. Ł., wielkiego miłośnika i orędownika spraw, do łowiectwa się odnoszących, zwlaszcza zaś wszelkich objawów, mających związek z kulturalno-obyczajową stroną łowiectwa. Odpis melodji i słów otrzymal był hr. Starzeński od Jana hr. Sobańskiego, z majątku Kobiele wielkie ad Radomsko, gdzie za życia pierwszego męża pani ze Skarzyńskich Sobańskiej, ś. p. Tymowskiego, na wzorowych tamtejszych polowaniach, grano na trąbkach i śpiewano tę właśnie pobudkę, wprowadzoną przez strażnika lasowego, a dawnego leśnego ze Spały, znanego pod imieniem Władysława. Nawiasowo zaznaczyć wypada, że te Kobiele — to miejsce urodzenia Reymonta. Był on synem tamtejszego organisty. Ta właśnie wieś rodzinna jest tłem akcji, rozgrywającej się w „Chłopach". Sąsiednie miasteczko jarmarczne nazwano w powieści „Tymowem". Wspomniany leśny Władysław zapamiętał prócz melodji dwie zwrotki tradycyjnej pobudki i opowiadał, że za czasów okupacyjnych, podczas polowań carskich, była to jedyna pieśń, którą straży leśnej spalskiej wolno było śpiewać po polsku. Z czasem jednak w samej Spale pieśń wygasła, jak się o tem na miejscu miał sposobność przekonać hr. Starzeński, który też nie omieszkał kierownictwu tamtejszych polowań dostarczyć tekstu słownego i muzycznego.

Oto obie zwrotki, zapamiętane przez starego leśnika:

A gdy pojedziem na polowanie,
Tam nas ogarnie myśliwski szał!
A gdy usłyszym tej trąbki granie,
Każdy z nas wesół i pędzi w cwał!

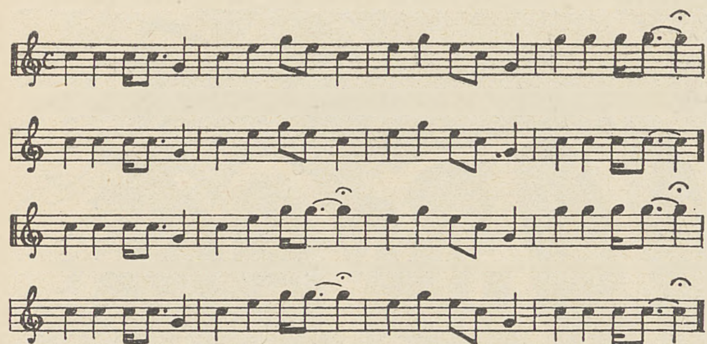
Dalej na pola, dalej do lasu,
Bracia myśliwi nie traćmy czasu!

[1]) Zob.: W. Ziembicki, Myślistwo a muzyka: I. Słowo wstępne, wygłoszone w czasie audycji pod tytułem „Polska pieśń myśliwska', nadanej przez Polskie Radjo ze Lwowa na wszystkie rozgłośnie dn. 1 lutego 1935, „Łowiec", Nr. 3, z dn. 1 marca 1935, str. 26. — Tekst tegoż „Słowa wstępnego" ogłoszony był równocześnie w „Łowcu polskim", Nr. 7, z dn. 1 marca 1935, str. 128.

Polówka w lesie, istna parada,
Bo z niej się sypią śruty jak grad,
A nam tu siedzieć tak nie wypada,
Bo jużby zwierza nie ujrzał świat.

Dalej na pola, dalej do lasu,
Bracia myśliwi nie traćmy czasu!

Melodja zaś jest następująca:



Jakie jest pierwotne pochodzenie pieśni? Czy towarzyszące melodji słowa wraz z nią powstały i kiedy? Jakie było jej rozpowszechnienie? Czy przywiązana była tylko do Spały, czy też znano ją i gdzieindziej? Oto pytania, które należało sobie zadać. Przedewszystkiem nasunęła mi się analogja z utworem, znanym oddawna w literaturze łowieckiej. W roku 1878 ogłosił mianowicie „Łowiec"[2]) tekst pieśni, pod tytułem „Chór strzelców", nadesłany redakcji (baz melodji) przez Artura Śliwińskiego[3]) z Warszawy, niestety bez żadnych komentarzy co do pochodzenia. Przytaczam go tu w całości:

Dalejże bracia, dalej wesoło,
Nim wyruszymy w cienisty bór,
Zebrani razem w miłe nam koło,
Złączmy swe głosy w myśliwski chór!

Dalej do kniei, dalej do lasu,
Hop, hop! myśliwi, nie traćmy czasu.

Gdy się zbieramy na polowanie,
To w nas męskości[4]) odżywa duch,
A kiedy trąbki usłyszym granie,
Każdy z nas wesół i każdy zuch.

Co za uciecha, przyjemność szczera,
Gdy pieski w lesie odezwą się,
Niczem z ich głosem żadna opera,
Bo w niej na oko nie gonią, nie.

Toć i z nagonką śliczna zabawa,
Gdy postępuje równo jak płot,
A jaka miła chłopaków wrzawa,
Kiedy się skrzydłem wynosi kot.

Polówka z kotłem — istna parada!
Bo tam się strzały sypią jak grad,
Lecz nam polować tak nie wypada,
Boby zająca nie ujrzał świat.

Łowy z chartami są znakomite,
Lecz nie na kota! niech żyje zdrów!
Ale gdy raźno gonimy kitę
I gdy on charty pakuje w rów.

Lub co przyjemność zastąpić zdoła,
Kiedy nasz wyżeł stanie jak mur!
Postępuj za nim, obchodź dokoła,
Pilnuj, bo bryknie tam stado kur!

Słowem, że wszędzie i w każdej porze
Polówka nasza powaby ma,
Zastąpić nic jej prawie nie może,
Toteż od wieków ona już trwa.

Wiwat, więc, wiwat! nasze myślistwo!
Niech trwa tak długo, jak potrwa świat,
I wiwat każde to towarzystwo,
Które nasz składa myśliwy brat![5])

Dalej do kniei, dalej do lasu,
Hop, hop! myśliwi, nie traćmy czasu.

Jak widzimy, powinowactwo obu tekstów jest uderzające. Strofki leśnego ze Spały wyglądają na zdeformowany fragment tego właśnie tekstu, który opublikował Śliwiński. Wynika to już choćby z tego faktu, że tekst Śliwińskiego jest obszerniejszy, poprawniejszy i logiczniej przeprowadzony. Porównując np. piątą strofkę Śliwińskiego z drugą strofką leśnego, stwierdzamy odmienne w obu wersjach znaczenie wyrazu *„polówka"* — na niekorzyść wersji leśnego. W tekście leśnego *„polówka"* oznacza broń palną (analogja do *„kniejówki")*, w tekście Śliwińskiego — rodzaj polowania (w p o l u). W szczególności mowa o *„polówce z kotłem"*. Mimo odmiennego znaczenia, obie te *„polówki"* są potępione, jako prowadzące do wyniszczenia zwierzyny. Gdy uwzględnimy, że tekst Śliwińskiego wydrukowany był przed 57 laty i pochodził od myśliwego i pisarza, a więc i od znawcy języka myśliwskiego, tekst zaś leśnego ze Spały podany był dopiero po wojnie światowej i to z pamięci, musimy przyznać pierwszeństwo tamtemu.

W nadziei uzyskania bliższych danych o genezie pieśni, postanowiłem zwrócić się do synów ś. p. Artura Śliwińskiego. I oto od jednego z nich, p. Andrzeja Śliwińskiego, dzięki gorliwemu pośrednictwu p. Stanisława Zaborowskiego, któremu na tem miejscu za jego trud najuprzejmiej dziękuję, uzyskałem miarodajne informacje. S ł o w a „C h ó r u s t r z e l c ó w" s ą o r y g i n a l n y m u t w o r e m ś. p. Ś l i w i ń s k i e g o. Pan Andrzej Śliwiński pamięta doskonale niektóre zwrotki i podał je na piśmie. Są to, z minimalnemi zmianami, zwrotki 1, 5, 6 i 7 tekstu, wyżej przytoczonego z „Łowca". W rodzinie autora, który był człowiekiem muzykalnym, istnieje mniemanie, że i melodja pieśni od niego też może pochodzić. Ten szczegół wymaga jeszcze ustalenia[6]).

Co do nazwy, — to ponieważ pieśń niewątpliwie najdłużej i najczęściej rozbrzmiewała w Spale, z drugiej zaś strony nie znamy, narazie przynajmniej, miejscowości, w którejby była wprowadzona dawniej niż tam właśnie, a być też może, że zapamiętanie jej przez tamtejszego leśnika uratowało ją od zupełnego zapomnienia, — niema, jak sądzę, żadnej przeszkody, aby się zwała „Marszem spalskim" czy „Pobudką spalską".

---

[2]) Str. 171.

[3]) Artur Śliwiński, zmarły w r. 1912, w 75 r. ż., był zasłużonym działaczem i pisarzem łowieckim. Wspomnienie pośmiertne, zawierające szczegóły z życia, zob. „Łowiec Polski", 1913, Nr. 1, str. 13.

[4]) Wyraz „męskości" proponuję zmienić na „rycerski".

[5]) Wiersz w śpiewie niezrozumiały. Proponuję zmienić jak następuje: „Gdzie razem z nami myśliwy brat".

[6]) W związku z tem proszę wszystkich myśliwych, do którychby doszły niniejsze uwagi, o nadsyłanie spostrzeżeń zarówno w sprawie melodji jak zasięgu powyższej pieśni, a to pod adresem: Małopolskie Tow. Łowieckie, Lwów, Ossolińskich 11, do mojej wiadomości.

Pieśń śpiewa się w tempie szybkiego marsza. W czasie audycji wykonał ją chór lwowskiego Korpusu Kadetów, któremu dałem ją do dyspozycji. Odśpiewane były trzy zwrotki z tekstu Śliwińskiego, a mianowicie dwie pierwsze i ostatnia. Rzecz ułożył na chór z towarzyszeniem trąb prof. Mieczysław Krzyński, nauczyciel muzyki w Korpusie Kadetów, a zarazem dyrygent chóru. Część instrumentalną wykonała orkiestra 40 p. p. z kapelmistrzem, por. W. Jurkiewiczem, na czele. C. d. n.



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

VI.
SŁOŃ AFRYKAŃSKI

(Ciąg dalszy)

Już w poprzednich rozdziałach nadmieniłem, że u słoni jest bardzo silnie rozwinięty pęd migracyjny. Wędrowcy to niezmordowani. Pod wpływem tego nieodpartego instynktu, wędrują w pewnych sezonach z jednej krainy do drugiej — przemierzając w swym pochodzie gromadnym ogromne przestrzenie.

Europejczycy, którzy poświęcili czas dłuższy łowom na tego gruboskórca — musieli prędzej, czy później wpaść w te szlaki, któremi odbywały się te wędrówki. Bowiem nie były to drożyny przypadkowe, ale niejako gościńce, celowo w pewnym kierunku poprowadzone i możliwie w prostej linji wytyczone poprzez okolice, obfitujące w bogate żerowiska i dogodne miejsca kąpielowe. To ścieżyny o jednakowej wszędzie szerokości (około 40 cm) nie tylko czysto ale często głęboko wydeptane, skutkiem ciągłego używania przez długie lata, bez śladu choćby tu i ówdzie kiełkującej trawy, a nawet bez pyłu, tak właściwego drogom, silnie przez ludzi uczęszczanym. Szlaki te prowadziły z reguły przez tereny niezamieszkałe, co zapewniało tym zwierzętom spokój w czasie ich wędrówek.

Skoro tylko na takich zaczęli krzątać się ludzie, gdy pozakładali tam swe osiedla, a wygodne te ścieżyny zużytkowali dla własnych celów komunikacyjnych — co gorsze — gdy zaczęli tam polować na słonie, zastawiając pułapki, lub witając je w czasie wędrówek salwami z broni palnej — słoń znikał z okolicy, skierowując swe pochody w inne strony. — Drożyny wnet zaczęły zarastać, a po latach — już tylko fama głosiła, że tędy kiedyś przewalały się setki tych olbrzymów.

— — — — — — — — — — — — — — —

W r. 1890 wybrałem się na dalszą wycieczkę myśliwską. Miałem znowu słonie na oku. Nie te ze stepów, które dotychczas spotykałem, młode samce, o mizernych kłach, ruchliwe a wojowniczo nastrojone, ale poważniejsze egzemplarze, co dźwigają choćby kilka dziesiątek kilogramów kości słoniowej w pysku.

Ale tego rodzaju grubsze sztuki nie lubią się pokazywać wśród gromady młodszej generacji. Spacerują zazwyczaj samotnie, czasem w towarzystwie dwóch lub trzech podobnych staruszków, unikają też miejsc otwartych. Są to stare wygi o wielkiem doświadczeniu, których nie łatwo dopaść tam, gdzie już rozbrzmiewa odgłos broni palnej, lub gdzie je zaniepokojono na zwykłych ich żerowiskach i przy wodopojach.

Z myślą o takich słoniach — postanowiłem jak można tylko daleko pchać się w głąb kraju — jak najdalej od rzeki Sziry, a przedewszystkiem szukać za niemi wzdłuż starych szlaków, biegnących między łańcuchami górskiemi, tak po prawym, jak po lewym jej brzegu.

W czasie drogi, rzeką — początkowo łodzią, następnie parowczykiem angielskim, gdym w środkowym jej biegu przecinał ów, słynny ongiś step „Elephant-marshes“ — patrzyłem już bez entuzjazmu na tę rozległą równinę, jakkolwiek tam właśnie przed dwoma laty, moje pierwsze słonie upolowałem.

Z pomostu kapitańskiego widoczny był znaczny kawał tej równiny, częściowo już wypalonej. Zapomocą lunety cały dzień lustrowałem znane mi dobrze zakątki: czy też nie okaże mi się sylwetka zwierza, któryby mię mógł wówczas najbardziej zainteresować?

Niestety — oprócz licznych kozłów wodnych i dużego stada bawołów — żadnej innej godnej uwagi zwierzyny nie odkryłem.

— Nie widać słoni? — zapytywał od czasu do czasu kapitan w ciągu drogi.

— Nie...

— To dziwne? — Nie odbyłem do tej pory żadnej podróży, ażeby nie oglądać w ciągu dnia — tu lub ówdzie, tych gruboskórców... A jeżdżę już w te strony od kilkunastu lat... Dawniej widywało się ich tutaj nawet bardzo dużo. A jeśli nie można ich było zobaczyć w całym ich majestacie, j. np. w czasie deszczów, bo ogromne trzciny zupełnie kryły te zwierzęta, to łatwo było odkryć ich miejsca postoju, gdyż stada białych czapel — to unosząc się nad nimi, to zapadając na ich grzbiety (gdzie znajdowały obfity żer w postaci dobrze nassanych kleszczów) — zdradzały ich kryjówki.

W ciągu dnia nic podobnego nie odkryłem. Słoni nie było.

Ale trudno! Dziś nie można było nawet przypuszczać, aby ten, tak ostrożny zwierz — zechciał tu zaglądać, skoro zeszłego roku toczyły się w okolicy zacięte walki między wojownikami królika Makololów, Malauriego, a żołnierzami ekspedycji portugalskiej majora Serpy-Pinty. Wielotygodniowa strzelanina ostrzegła już z daleka słonie, będące w drodze do stepów, o niebezpieczeństwie, jakieby im tam groziło, gdyby się zjawiły na otwartej, rozległej równinie.

A słonie są bardzo czułe na odgłosy strzałów. Zwłaszcza na strzały w głuszy leśnej, lub wśród gór niezamieszkałych. Już jeden wystrzał z broni grubszego kalibru,

to dla nich jakby ostrzeżenie: miejcie się na baczności!.. kilka takich strzałów, to już sygnał alarmowy: uciekać póki czas!..

Było do przewidzenia, że słonie — o ile w czasie tych walk gdzieś daleko stąd się wyniosły, nierychło na step powrócą, chociażby tam znowu zapanował spokój. Bo słoń pamięta dobrze i długo.

To już nie ten sam step, na który patrzył Livingstone w czasie swej podróży do jeziora Njassa — myślałem. Wtedy nie stada kilkudziesięciu sztuk, ale formalne armje słoni, po kilkaset głów liczące — wałęsały się po stepie...

Ale i to prawda, że wtedy broń palna była tam prawie nieznana — przynajmniej o ile dotyczyło środkowej i górnej Sziry. Od tego czasu minęło zaledwie lat trzydzieści, a jak ogromne spustoszenia dokonano wśród zwierzostanu słonia. A przecież kraje te, tak jak ongiś — ciągle jeszcze były mało dostępne dla cywilizacji, mało znane i mało przez Europejczyków zwiedzane — bez osiedli europejskich, bez dróg — i z chromającą ciągle komunikacją rzeczną, o której można było powiedzieć, że jej nie było.

Co wypłoszyło stamtąd tego gruboskórca? Gdzie się podziały owe setki, a nawet tysiące tego zwierza, bo na tyle ich oceniano wówczas nad Szirą? Czy wszystkie padły z rąk nieoględnych myśliwych?

Tubylcy oczywiście mówili: tak!... Przypisywali to zachłanności polujących tu przez lat kilka — myśliwych Europejczyków.

Oskarżenie to — jak się przekonałem — było bezpodstawne. Zwykła zawiść mało inteligentnego myśliwego dzikusa, wobec wyżej stojącego umysłem myśliwego białej rasy, posiadającego dobrą broń i strzelającego o całe niebo lepiej, od ich najlepszych strzelców.

(C. d. n.).



Na ciągu

Białe brzózki, olszyna,
Kwili jakaś ptaszyna,
Milkną drozdy, kosy...
Chwasty w perłach rosy.
A słońce znużone,
nabrzmiałe, czerwone
coraz niżej opada
i w chmurkę zapada
puszystą.
W ręku zimna stal,
słucham... patrzę w dal
mglistą.
We wsi psisko wciąż szczeka,
Coś krzakami ucieka...
Czy nie bies to? w noc czarów,
wśród zwodniczych oparów...
A w tem — poświst... chrapanie,
cień skrzydlaty na ścianie
różowego zachodu!..
I jak kiedyś, za młodu,
serce wali młotem,
broń wznosisz... a potem...
suchy trzask,
ognia blask!
I pada lasów kochanka,
jędrna,... barwna — jak pisanka!
Chwytasz ją z radością,
podziwiasz z lubością
i... żal ci jej...
żal!!
Księżyc już świeci.
Druga!..
Tu leci!!
Pal!..

Mieczysław Kosielski

TYTUS KAZIMIERZ KARPOWICZ

Trio...

Toast idzie za toastem...

Hucznie, wesoło. Moc światła, moc ciepła, dużo ludzi i sporo humoru. Wszyscy się bawią w najlepsze. Przy pjaninie dokazuje znana w okolicy „stara panna": gra naprawdę dobrze...

Po gladkiej posadzce krążą w tańcu pary to niedbałe, senne, to żywe, gibkie, to znów poważne, stateczne... Melanż płci, wieku, wzrostu, dowcipu i inteligencji — jak zawsze na baliku.

Starsze towarzystwo zabawia się tymczasem w pogawędkę, w ploteczki, w karty... Wśród panów rej wodzi uczynny gospodarz, mówiąc nawiasem, powiatowy delegat łowiecki: z tego powodu słyszy się często wzmianki o łowiectwie, o prosperacji jego idei, o nowym programie pracy na przyszłość...

Dużo też się mówi o polowaniu, pechach i szczęśliwych trafach... O „czarnej gwieździe" najwięcej rozprawia otyły jegomość, o twarzy proboszcza, ze złotą, staroświeckiej roboty dewizką od skrytego w kieszonce kamizelki zegarka. Najlepszym strzelcem w całej okolicy, jak się okazuje z jego własnych słów, jest pan wójt, który ubija jednym strzałem trzy nadbiegające rownolegle do siebie szaraki. Najbardziej oszczędnym ze wszystkich okazuje się urzędnik z miasta, gdyż dla „ekonomji" nie „poprawia" lekko trafionego za pierwszym razem zwierza, ale powiada, że „to, panie dziejaszku, wystarczy!". Pan delegat, jako uprzejmy gospodarz, nie może oczywiście zwracać uwagi szanownym gościom, ani naprowadzać ich na drogę prawdy, bo to przecież „w swojem kółku", „domowe sprawy": wszak równie pomyślnie omówi się te rzeczy na Walnem Zgromadzeniu, w gronie podobnych jemu ideowców...

Ale, jako „ideowiec", czuje się trochę markotnie w towarzystwie takich oryginalnych myśliwych... Więc od czasu do czasu zbliża się do pokrytej wzorami kwiatów szyby okiennej i — patrzy smutnie na srebrną, rozjaśnioną blaskiem księżyca, przestrzeń — czy gdzie szarak nie męczy się w pętli, czy kłusownik nie przekrada się w stronę lasu...

— — — — — — — — — — — — — —

— Tu jedna... tak, dobrze... A teraz — tam, pod krzakami, na górce... — mruczy do siebie zgarbiony nad pętlą

WŁ. K.

Pod głuszcem karpackim

Toki głuszców i rykowisko jeleni, to w naszych górach bezsprzecznie jedyne okresy mogące dać 100% użycia myśliwemu (nie łowcowi lub strzelcowi) miłującemu i szanującemu naturę, to cel zazdrości tych wszystkich, którzy nie mieli szczęścia stawiania pierwszych swych kroków pod znakiem św. Huberta w górskich i podgórskich naszych terenach.

Do wiosny wydaje się już niedaleko, więc w tej wiązce tkanek, służącej u nas za siedzibę umiłowania myślistwa, wre już praca odwikływania z dużego kłębka wspomnień przeżytych na tokach górskich głuszców wrażeń.

Zamykam oczy i widzę, co tak było niedawno:

Niepodrzędnej klasy wyczyn sportowy doprowadza (22 kwietnia 1930) dwóch towarzyszy z pod znaku M. T. Ł. do szałasiku ukrytego w zacisznem urwisku, zarośniętem prastaremi jodłami, bukami i ich młodszem potomstwem. W rolach duchów służebnych występują dwaj młodsi synowie gór przerobieni z kłusowników na nader przydatnych a iskry myśliwskiego ducha niepozbawionych „wysłuchiwaczy".

Słońce ubiera już widoczne szczyty zalesionych lub nagich jeszcze od północy śniegiem pokrytych gór w muślinowe zasłony szkarłatnego koloru, czas więc na „zapad".

Na dużej, dawnem „uwiezieniem się" terenu wytrzebionej około 50 morgowej halawie, niedaleko od szałasu leżącej zasiadają obaj myśliwi i „wysłuchiwacze", każdy osobno, tak by ich czterema parami oczu objęty został jak największy szmat lasu, dochodzącego tu już pod granicę wegetacji drzew.

Pierwsze uczucie wyrywa z płuc głębokie westchnienie zadowolenia: nareszcie jestem sam a poza tymi dalej zasiadłymi trzema ludźmi niema w promieniu przynajmniej trzech kilometrów wkoło nikogo, prócz szczerej kochanej natury! Oddaję się całą duszą kontemplacji przyrody i wydaje mi się, że prę się po stopniach jakichś krysztalowych schodów, przybliżających do kolebki prabytu. Gdzieś poniżej mnie w zaroślach i hen ku wolnym już od śniegu dołom, wygwizdują kosy swe wieczorne pieśni, pozatem cisza tak idealna, że zmęczony zgiełkiem mrowisk ludzkich słuch wydaje się chwytać szelest przesuwających się po firmamencie drobnych i rzadkich, purpurowo zabarwionych chmurek. Gdzieś niedaleko pod śniegiem płynie wąziutka struga wody z roztopionego w dzień śniegu i wywołuje ledwo dosłyszalne odgłosy jakby szeptu bajki, o niesamowicie emocjonującej treści. — Nagle od strony południowej ukazuje się na tle błękitu duży ciemny ptak, płynący w przestworzu bardzo szybko, jednak bez widocznego ruchu skrzydeł czy ogona. Szeroko zakreśloną spiralą opuszcza się ten przybysz ponad szczyty drzew i ginie za chwilę w jednostajną barwę już tworzącej masie jodłowo-świerkowych gałęzi na prawie niedostępnej urwistej zboczy. Po chwili drugi taki ciemny meteor mija moje pole widzenia i spływa gdzieś w kierunku zorzy gasnącej na zachodnim nieboskłonie. — W międzyczasie słonka powolnym, rozważnym lotem rekognoskuje teren z nieznacznej wysokości, szepcząc przytem swe miłosne zaklęcia, czy może modlitwę wieczorną. W odległych odemnie o jakich 200 kroków jodłach, słychać uderzenia skrzydeł jakiegoś głuszca, który tu gdzieś niezawodnie stale przebywa, a teraz wybiera sobie odpowiednie na nocleg miejsce, przesiadając się parokrotnie z gałęzi na gałąź. — Wysoko na skraju halawy widzę na tle wolnej przestrzeni śnieżnej zapadającego głuszca, który obserwowany przez siedzącego tam Wojtka, usiadł na śniegu i pomaszerował wolnym krokiem ku zwartemu starodrzewowi. Cichutkie ostrożne stąpanie po trzeszczącej nieco wieczornym przymrozkiem ściętej powłoce śnież-

---

na zające człowiek. Mróz go szczypie w twarz i uszy, otula się więc poszarpanym kożuchem, stuka w zziębnięte ręce... Kończy umocowywanie do ziemi jednej „kiłpy", przysypuje lekko śniegiem nierówność gruntu i, burcząc do siebie, kieruje się ku wzgórkowi...

— To, psiakrew, zimno... Ale jeden jest — mówi, potrząsając szarakiem — ...nawet niezły; mięska dzieciakom będzie... Jutro wieczorkiem znowu przyjdziemy... tak...

Dobija przez zaspy do wzgórza i na przejrzystej dróżce między grupą krzewów instaluje wprawnie drugą pętelkę... Już ich w polu kilkanaście czeka!

— Siedź tu spokojnie — aż przyjdzie kotek... A potem... ot, tak i — już... — ze znaczącym ruchem wodząc po szyi, gawędzi ze sobą kłusownik. Zaciera śniegiem ślady, prostuje grzbiet, wzdycha ciężko i — wytężając wzrok, spogląda daleko, w granatowo-siną pustać...

— O... Widzisz go... jak błyszczą okna: bawi się... Baw się, baw, pan dyligat! a my tu troszkę pożywim się; niedużo — tylko parę szaraczków, ot takich, jak ten, chudzinkich...

Odrywa spojrzenie od odległego, lśniącego gwiazdami szyb — dworu i wolno, nie śpiesząc, „bierze się" ku domowi.

Ściana leśna coraz dalej pozostaje za nim wtyle: mija pola, przebywa krzaki i wchodzi na dróżkę, biegnącą do wsi. Już domy szarzeją w kotlinie, już żóraw wysoki sterczy na tle bezchmurnego szafiru...

Pies zaszczekał — — —

Skrzypnęły drzwi chałupy — kłusownik wchodzi do wnętrza... Od pieca zapiszczał dziecięcy głos:

— Tatulo idą... hiii... — jeden zając jest!

— Nie skrzecz! — ofuknął.

— To ty, Ignaś?.. — zamruczała przez sen żona.

— Ja...

— Jest co?..

— Jest! Jutro usmażym... Nie poniosę sprzedawać; niech dzieciska podjedzą...

— Hiii... — zapiszczało głodne dziecisko.

Kłusownik ukrył w „warzywni" zająca, zatrzasnął zasuwę drzwi, wgramolił się na piec.

— Posuń się!

Legł na brudnem posłaniu.

Za chwilę ciszą chaty trzęsły równe, głośne chrapania...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Księżyc świeci — jasno, czysto.

nej każe zwrócić mi szkła w tę stronę. Po chwili mam przed oczami parę sarn obgryzających beztrosko krzewy, miejscami halawę porastające. — Śnieg wkoło przechodzi zwolna w szarą ogólną masę a choć chłód nieco dobiera się do rąk i nóg, nie chce się opuszczać obranego siedziska, by ruchem swoim nie przerwać tej majestatycznej, a tyle balsamu w duszę sączącej ciszy.

Cicho skradającym się krokiem zbliża się wreszcie reszta drużyny, musimy jednak zrezygnować z dojścia do szałasu wydeptaną uprzednio ścieżką, ta bowiem przechodzi opodal miejsca, w którem słyszałem sadowiącego się koguta. Zataczając więc duży łuk po uciążliwym terenie ku dołowi, dobijamy po stromem urwisku, szarpani gałęziami krzewów, do naszego szałasu, gdzie za chwilę ogień wydzielający aromatyczny dym płonącej jedliny ogrzewa nas i nasze zapasy żywności. — Żaden materac najnowocześniejszego tapczanu nie zastąpi półmetrowej grubości równo rozesłanego stosu balsamicznie pachnących, drobnych, świeżo naciętych gałązek jodłowych, na których śpimy w pełnem ubraniu, a nawet i w futerkach. — Przed samem zaśnięciem opanowuje mię znów zadowolenia pełne przeświadczenie, że za cienką ścianą z okrąglaków jest tajemniczy las, majestatyczna natura a o 800 do 1000 kroków od szałasu dobrze ukrytego, śpi na jodłach kilka kogutów, które wierne odwiecznym swym prawom, zagrają za kilka godzin swe tajemnicze, a uroku pełne kantaty.

Budzik nam niepotrzebny, bo człowiek w sercu prawie dziewiczej, umiłowanej i miłującej przyrody, śpi spokojnie jak nigdzie, ale odzyskuje i jakieś pierwotne instynkty, gdyż budzi się o wyznaczonej sobie z wieczora godzinie, 1-ej po północy.

Łyk gorącej herbaty poprzedza wypicie paru surowych jaj a potem zaraz wychodzimy do dwuch w rozlosowanych wieczorem kierunkach. Prawie dwie godziny czasu dzielą nas od chwili ukazania się pierwszych zwiastunów świtu, postępujemy więc wolnym krokiem, drapiąc się przy pomocy rąk, na bardzo stromą zbocz, najeżoną odłamami skał i staremi wiatrołomami. Zasadzonego wieczór koguta postanowiłem zajść z góry, aby mieć wciąż krycie wśród drzew.

Wchodząc w tę zaczarowaną krainę leśnych tajemnic, doznaję zawsze — bez względu na porę dzienną, czy nocną — uczucia, jakgdybym wstępował do jakiejś czci najgodniejszej świątyni. — Cisza dokoła tak intensywna, że uderzenia pulsującej tętnicy szyjnej o największy kołnierz, wydają się odległym hukiem walących się skał.

Po przeszło godzinnem, silnie absorbującem wspinaniu się, docieramy z Wojtkiem na nieco równiejszy skrawek terenu, położony przypuszczalnie o jakie 100 do 150 kroków ponad miejscem, w którem usadowił się wieczorem miejscowy głuszec. — Zegarek wskazuje godzinę 2,35 po północy, nieboskłon na wschodzie nie różni się jeszcze niczem od reszty firmamentu zasuwającego się jakiemiś pierzastemi chmurami, czy może nadciągającą z północy mgłą. Choć powolne, ale forsowne osiągnięcie obecnego mego stanowiska spowodowało kompletne spotnienie ciała, które teraz szybko stygnąc w bezruchu, przyprawia mię o walkę z nieprzepartem dzwonieniem zębami.

Parę minut po godzinie trzeciej, daje mi Wojtek znak, że kogut już się odezwał. To tylko jego bajecznie czuły słuch mógł na tę odległość usłyszeć pierwsze akordy pieśni głuszcowej. Popycham lekko Wojtka we wiadomym mu kierunku i postępuję ostrożnie za nim, dostosowując me ruchy do jego ruchów. Po kilkunastu serjach uciążliwie stawianych z góry kroków i ja już słyszę telękanie głuszca, daję więc znak Wojtkowi, który momentalnie przywiera do najbliższej babki jodły, a ja już sam kroczę w dół, w takt szlifowania koguta.

Kogut „gra jak z nut" rzadko tylko pozwalając sobie na krótkie przerwy, tak, że niebawem jestem już gdzieś tuż „pod głuszcem". — Jodły tu wyjątkowo są niskie.

Las srebrny pod kożuchem szaci lśni się, jak pod płaszczem, brylantami sadzonym... Cicho, uroczyście. Wiatr gałęźmi nie kołysze. Nie słychać żadnego głosu. Martwota i — mróz.

Siarczysty mróz i — nikczemny głód.

Jeść się chce. Trzeba dobrze się nabiegać, by znaleźć coś godnego „pod ząb". Wały śniegu leżą na zmacznych kłączach, na trawach i na niższych krzewach — wierzchem ściele się twarda, szklista, lodowa politura.

Może bliżej wsi, na polach, na usianem krzaczkami wzgórzu coś będzie do schrupania?...

Kic... kic... — przystanął; znów: kic... kic... — już jest w kotlince, zaraz będzie na górce... Dla humoru kłapnął słuchami, stanął słupka — słucha — — —

Cisza.

Kilka skoków i — osiąga szczyt pagórka. Przystaje. I jego zajmuje daleki, lśniący jarzącemi się ślepiami potwór ludzkiej roboty... Ale on nieszkodliwy, ani też groźny — nie trzeba się bać. Czas na kolację!...

Więc — chrup... chrup... Twarde, niezbyt smaczne krzewy, ale co robić? Głód nie żartuje, kiszki robią nazbyt głośne aluzje á propos jedzenia...

Znów kilka skoków — świeże, młodsze krzaczki, o cieńszej korze — bardziej smakują, niż stare, zawiędłe!

Zmienia kilkakrotnie miejsce żerowania.

Wreszcie otrząsa się, jak w dreszczu, strzepie uszami, staje słupka, daje susa i gna między krzewy...

Skok... skok... i — chrszsz... — szczeka na szyi pętla.

Szarak od pędu zatacza się, pada na śnieg... Wstaje — szarpie się, jak opętany... Elastyczny drut zaciąga się coraz bardziej — dusi, dławi, męczy...

Zając kniazi — żałośnie, rozpaczliwie — — —

Czarne płaty wirować zaczynają przed jego oczyma...

Zasnuwa się mgłą sina taśma lasu, biała polna pustać i srebrna twarz księżyca w szafirowem polu...

Straszne skurcze targają ciałem — — —

Drży...

Rzuca skokami...

Zaskomlił raz, chlipnął — i już...

Wyprężone w agonji ciałko śpi, jakby nic, na śnieżnym całunie...

Gdzieś, daleko, w stronie boru, za polami — płacze samotny wilk — — —

Czyżby nad ludzkim płakał czynem?...

— — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — —

Stoję pod jakby parasolem a nademną płyną fale niesamowitych dźwięków, za których źródłem szukam z całem wytężeniem wzroku. — W czasie następnych kilku szlifowań, przeciskam się gwałtem parę kroków naprzód tak, że głowę mam poza gąszczem parasola gałązek jodłowych a wzniósłszy wzrok ku górze, widzę na tle już bledszego nieboskłonu wspaniałą sylwetę dużego głuszca z roztoczonym wachlarzem, opuszczonemi skrzydłami i wyciągniętą poziomo szyją. — Kogut przestępuje z nogi na nogę, stojąc na szczycie, najwyżej na 10—12 m wysokiej jodły, pozbawionej zdaje się pędu wierzchowego i gra, że aż się serce raduje.

Świt rozjaśnia eter tak, że — będąc nie dalej jak 20 m w linji powietrznej od koguta — widzę najwyraźniej najdrobniejsze ruchy jego dzioba, przy wydawaniu przez krtań różnych odcieni tonów. Machinalnie zdejmuję z ramienia sztuciec i kilkakrotnie układam muszkę na piersi tego niesamowitego grajka, po chwili jednak zarzucam sztuciec na szyję. — Może ostatni raz w życiu widzę takiego wspaniałego syna górskiej puszczy w jego najefektowniejszej pozie, i miałbym zgasić tę śliczną, żywą, jedyną w swoim rodzaju okrasę naszych umiłowanych gór. Poco? czy jeszcze jeden wachlarz zawieszony na ścianie nie wywoływałby we mnie za każdem nań spojrzeniem wyrzutów, że pozbawiłem krajobraz górskiego boru jego najładniejszej ozdoby? Czy moim strzałem nie potargałbym najcudniejszej przędzy nastroju, który danem mi jest w tej chwili wchłaniać w spragnioną takich wrażeń duszę? Krótka satysfakcja dobrze ulokowanej kuli zniweczyłaby raz na zawsze wszystkie nadzieje, jakie natura przywiązała do reprodukcji tego bajecznego koguta, a przyszłe pokolenia miałyby zupełną słuszność złorzeczyć mi, że dla zaspokojenia sobkostwa i braku myśli o nich, pozbawiłem, względnie przyczyniłem się do pozbawienia ich możności przeżycia bodaj raz, takich chwil, jakie przeżywałem właśnie przy drżeniu każdego muszkułu. — Obraz grającego niesamowitego koguta utrwalony w mej jaźni przewyższa mi bezwzględnie wszelkie trofea, garnirujące ściany w postaci szczątków niejednego członka fauny leśnej. — Takie trofeum jest bezustannie ze mną otoczone aureolą dalszego życia, tej największej ponoś radości!

W pewnym momencie, bezpośrednio po szlifowaniu, zrywa się mój kogut lekko i przeleciawszy może z 50 m, zasiada blisko szczytu świerka stojącego już na samym skraju halawy. — Zaledwie głuszec opadł na gałąź, zaczął odrazu na nowo grać. — Posunąwszy się bliżej ku niemu, znalazłem znów dobre ukrycie, z którego miałem dość szerokie pole widzenia, pozwalające mi obserwować przez szkła grającego o jakie 30—40 m odemnie koguta. Dzień już był przynosił jednak niską mgłę z wiatrem, pieśń głuszca płynęła jednak niezmordowanie dalej, tylko postawa koguta stała się mniej efektowną, gdyż wiatr wyginał mu roztaczany wachlarz, tak że wkońcu głuszec grał, nie roztaczając wachlarza, a tylko ruchami ogona „markował" roztaczanie. — Mgła nie była gęsta, więc zupełnie nie przeszkadzała mi we wpatrywaniu się z pietyzmem w ten niezrównany obraz, utrwalający się na zawsze na ekranie, utkanym z mego systemu nerwowego. — Jeszcze raz przechodziłem muszką mego sztućca przez korpus koguta, ale nie miałem serca pociągnąć za cyngiel. — Niebawem głuszec zrezygnował z dalszego koncertu, złożył skrzydła, wyprostował się, poczem zerwał się i okrążywszy moją kryjówkę, zapadł na starszym świerku, na szczęście nie poza polem mego widzenia. Z początku nie rozumiałem, co ten manewr miał na celu, wnet się jednak przekonałem, że kogut przystąpił spokojnie do rannego posiłku. Mocnym dziobem, jak ogrodnik sekatorem, obcinał prawie bez szarpania koniuszki drobnych gałązek świerka, które z łatwością ze wszech stron dosięgał. — Chwilami dochodził mię — mimo lekkiego szumu wiatru — jakby odgłos trzasku nożyc. To tak działał potężny dziób głuszca. Po spożyciu kilkunastu kęsów, kogut przeskoczył na dalszego świerka czy jodłę, ale już wtedy zakryły go gałęzie przed mem nienasyconem spojrzeniem. Tylko czasem jeszcze słyszałem trzask dzióba, dający mi znać, że śniadanie nie skończone. — Może jeszcze z 10 minut stałem dalej bez ruchu na mojem stanowisku, układając w pamięci dopieroco przeżyte wrażenia najwyższego napięcia myśliwskiego, gdy kogut zerwał się bez charakterystycznego strzepnięcia skrzydłami, jakie wydaje, będąc spłoszonym, i pociągnął ponad halawę, a ja rzuciłem za nim głośne, serdeczne: „bądź zdrów"!

Jakby zstępując z wyżyn nie przez każdego osiągniętych, poszedłem do Wojtka, który przez cały czas mej nieobecności nie ruszył się z miejsca. — W oczach jego spostrzegłem pewien rodzaj zdziwienia, wyrzutu, czy nawet może troski o moje władze umysłowe. Temu urodzonemu kłusownikowi nie mogło się w głowie pomieścić, by ktoś przebywał drogę 400 km z miejsca zamieszkania do rewiru górskiego, nie szczędził kosztu i trudu, miał głuszca kilkanaście metrów nad głową i powstrzymał się od strzału. Najpierw więc wypłaciłem Wojtkowi przyrzeczoną za zabicie głuszca nagrodę a potem w drodze powrotnej do szałasu, starałem się wytłumaczyć mu, że uważam głuszca za zdobytego przezemnie, przyczem wyjaśniam mu też sens wszystkich myśli moich, które zrodziły się i urzeczywistniły pod wpływem tak wspaniałego spotkania, jakiem mnie dzisiejszego ranka Diana obdarzyła.

Czy intencje moje wniknęły w duszę Wojtka? Niewiem. Wątpię, gdyż Wojtek powiedział nagle: „a dyć pan trafiają kulą rzucone w powietrze wypite jajko, to byliby i koguta niechybnie dostali". — „Margeritas ante porcos" rzucać więc może nie należy!



KAZIMIERZ WYSOCKI

Początek polowania — czy przygotowanie do polowania

Odpowiadając na zapytanie grupy myśliwych z Węgrowa, wyraziła redakcja „Łowca Polskiego" w numerze 32 tego pisma z dnia 10 listopada 1934 roku swą opinję, że najzupełniej słusznem jest zapatrywanie, że zaciąganie flader na zwierzynę jest początkiem polowania, a jako takie, podpada pod postanowienia art. 47, rozporządzenia Prezydenta R. P. z 3 XII 1927, Nr. Dz. p. 110.

Ponieważ chodzi tu o rzecz zasadniczą, bo o interpretację art. 47 tego rozporządzenia, przeto nie podzielając tego zapatrywania, pozwalam sobie na wypowiedzenie kilku uwag w tej sprawie.

Ja uważam ofladrowywanie przestrzeni opolować się mającej, nie za początek polowania, ale jako przygotowanie do polowania, do czego postanowienia art. 47 rozporządzenia z 3 XII 1927, wcale nie mają zastosowania.

Fladrowanie jest taksamo czynnością przygotowawczą do odbyć się mającego polowania, jak oznaczanie stanowisk dla myśliwych, jak gromadzenie nagonki i podwód celem odbycia polowania, do których to czynności nie odnoszą się postanowienia art. 47 i które mogą się całkiem legalnie odbywać przed wschodem słońca, względnie po jego zachodzie.

Wszak nie należy to do wyjątków, że zarząd łowiecki, stwierdziwszy obecność wilków w jakimś ostępie, ofladruje ten ostęp, zawiadamia właściciela tego ostępu, mieszkającego naprzykład w Warszawie, że wilki zostały ofladrowane — i oczekuje dalszej dyspozycji. — Na takie zawiadomienie następuje odpowiedź, że właściciel polowania przyjedzie bezzwłocznie — albo, że wcale nie przyjedzie i nie będzie polowania. W pierwszym wypadku, gdzie ofladrowanie nastąpiło, powiedzmy w poniedziałek, właściciel polowania przybył we wtorek wieczorem — a polowanie odbyło się we środę, trwałoby polowanie, jeżeli ofladrowanie jest początkiem polowania, od poniedziałku do środy włącznie; w drugim wypadku nie było żadnego polowania, choć ostęp był ofladrowany — a gdy polowania nie było — też nie było i jego początku.

Bywam na polowaniach z nagonką, gdzie z uwagi na krótkość grudniowego dnia, rozpoczyna się pędzenie pierwszego miotu równo ze wschodem słońca. — Zaproszeni na to polowanie goście zjeżdżają się w domu gospodarza w przeddzień polowania — z domu wyjeżdżają do kniei przed wschodem słońca, tak że o wschodzie słońca są już na stanowiskach i o wschodzie słońca rozbrzmiewa sygnał do ruszenia nagonki.

W tych warunkach, następuje rozstawienie nagonki przed wschodem słońca — tak, aby na dany o wschodzie słońca sygnał do rozpoczęcia gonu, nagonka mogła zaraz ruszyć.

Czy rozstawienie nagonki przed wschodem słońca, która stoi na miejscu i dopiero po wschodzie słońca na dany sygnał rusza — można uważać za przekroczenie zakazu, wyrażonego w art. 47 rozporządzenia?

Początkiem polowania jest sygnał, dany w pierwszem pędzeniu, do ruszenia naganki.

Tę powyższą moją definicję początku łowów — potwierdza Karol Książę Radziwiłł w swym artykule — Łowiectwo na Polesiu („Łowiec Polski" Nr. 4/35), opisując jakto przez trzy dni wciskano zwierza na Hryczyńskie błoto, jakto trzeciego dnia pod wieczór Hryczyńskie błoto zamknięte zostało sieciami. — Podaje, że następnego dnia książę „Panie Kochanku" przybył na miejsce łowów i gdy wszyscy byli na stanowiskach, dał na bawolim rogu sygnał do początku łowów. Łowy rozpoczęte.

A więc początkiem łowów nie była chwila kiedy rozpoczęto cisnąć zwierza do Hryczyńskiego błota, ani chwila kiedy ten ostęp zamknięto sieciami — ale początkiem łowów był sygnał, dany z linji myśliwych do ruszenia nagonki.

„Niema nic ponad jelenia karpackiego"

Jeden z naszych czytelników otrzymał od bawiącego od ćwierć roku w Indjach (Kotah, Rajputana) znanego i u nas myśliwego hr. Pawła Palffy list, z którego przytaczamy następujący charakterystyczny, a jakże sympatyczny ustęp:

„Dotychczas dosyć dużo nastrzelałem się antylop, gazel, Imperial grouse (w Bikaner); ponadto zabiłem dwie pantery, a przedwczoraj pierwszego tygrysa. Wczoraj (15 luty 1935) wyszedł na mnie drugi tygrys i to na 25 kroków. Był to kapitalny okaz. Niestety przysłaniał mi go gąszcz tak, że do strzału nie doszedłem. Jeszcze przez trzy dni polujemy na tygrysy — potem czekają mnie inne zaproszenia i t. p. Trzeba powiedzieć, że to kraj fantastycznie cudny, a łowy są niebezpieczne i pełne czarującej emocji. A jednak! Wierzaj mi: **niema nic, ponad jelenia karpackiego** (Über den Karpathenhirsch giebt es doch — nichts)..."

To dalekie westchnienie — obeznanego z łowami całego świata myśliwego, czyż to nie piękny hołd złożony urokowi myśliwskiemu naszych dziewiczych ostoi karpackich?

Ś. † P.

KAZIMIERZ GOŁĘBSKI

długoletni członek i delegat M. T. Ł., znakomity myśliwy, zmarł w lutym 1935 r., w Lipicy górnej.

Cześć Jego pamięci!

Ś. † P.

JULJUSZ BIEDERMANN

długoletni, wierny członek M. T. Ł., członek Miejskiego Towarzystwa myśliwych we Lwowie, zmarł w dniu 20 marca 1935 r. we Lwowie.

Cześć pamięci zacnego Towarzysza!

Ś. † P.

ADAM UJEJSKI

właściciel dóbr Tomanowce, członek M. T. Ł., zamiłowany myśliwy — zmarł w marcu b. r.

Cześć Jego pamięci!

Notatki bibljograficzne

Adam Starzeński, O wędrownej kuropatwie (La question de la Perdrix Roquette). „Ochrona przyrody", r. XIV, 1934 i nadbitka.

Zasłużony na polu łowiectwa działacz i autor, prezes krakowskiego oddziału M. T. Ł., będący zarazem przedstawicielem łowiectwa w Państwowej Radzie ochrony przyrody i na odwrót, przedstawicielem ochrony przyrody w łowiectwie, porusza w pracy o Kuropatwie wędrownej bardzo ciekawe zagadnienie myśliwsko-przyrodnicze. Bo Kuropatwa wędrowna (Starna damascena, la Perdrix Roquette), to istotnie zagadnienie, oddawna zaprzątające ornitologów i myśliwych. Zebrawszy pracowicie mnóstwo cytatów z piśmiennictwa, uznaje autor dalsze badanie tego przedmiotu za konieczne, zgodnie z życzeniem Międzynarodowej rady łowieckiej (Conseil international de la Chasse). Spostrzeżenia bowiem uczonych i praktyków są dotąd podzielone. Gdy jedni skłonni są przyznać Kuropatwie wędrownej pełne prawo obywatelstwa, uważając ją czy to za odmianę, czy nawet za odrębny gatunek, inni przeciwnie, widzą w tej kuropatwie prawie że wytwór fantazji. Zwolennicy odrębności podnoszą, że ma ona cechy następujące: jest w całości mniejsza, jest ciemniejsza, ma nogi żółte a nie sine i wreszcie w ogonie ma sterówek 14 (13?), a nie 16 lub 18. Zwyczaje jej są tajemnicze, zjawia się naraz w licznych nieraz stadach, będących w ustawicznym ruchu. To podlatują one, to biegną, aby zniknąć równie szybko, jak się pojawiły. Autor apeluje więc do myśliwych i ludzi dobrej woli, ażeby wszelkie spostrzeżenia, dotyczące takich wędrówek, niemniej i okazy zdobyte, nadsyłali do dyspozycji Międzynarodowej rady łowieckiej, celem dalszego opracowania. Placówką Rady dla Europy środkowej, a więc i dla Polski, jest Muzeum historji naturalnej w Paryżu, w szczególności Laboratorjum ornitologiczne (55 rue de Buffon, Paris). Byłoby oczywiście wskazane, ażeby zbieranie informacyj z Polski odpowiednio zorganizować i ułatwić. Cała korespondencja powinna przechodzić przez jedne ręce, a więc powinna być skierowywana, jak sądzę, pod adresem Rady ochrony przyrody, która zajęłaby się jej przesyłaniem dokąd należy.

Jeśli chodzi o stronę naukową, głos będą mieli ornitologowie-systematycy. Ménégaux, systematyk francuski, w ogłoszonym przez siebie i p. Rapine spisie ptaków francuskich (Les noms des oiseaux ... 1921), pod nazwą gatunkową naszej zwyczajnej kuropatwy: Perdix perdix perdix (L.) 1758, umieszcza następujące nazwy podgatunków, względnie odmian:

Perdix perdix Damascena Brisson, 1760,

la Perdrix Roquette,

Perdix perdix hispaniensis Reichenow, 1892 (Pyrénées),

Perdix perdix armoricana Hartert, 1917 (Bretagne).

Zaznaczam, że w spisie tym nazwa „la Perdrix Roquette" jest oczywiście synonimem (francuskim) poprzedzającej ją nazwy łacińskiej Perdix perdix Damascena.

Byłbym ciekaw, jak się na całą kwestję zapatruje nasz znakomity systematyk, prof. Domaniewski.

Ziembicki.

Korespondencje

Czerce, dnia 22 lutego 1935.

Polowania odbyte w minionym sezonie na przestrzeniach własnych i dzierżawionych przez Witolda Ks. Czartoryskiego właściciela dóbr Pełkinie, dały następujące rezultaty:

21 grudnia 1934. Polowanie w lesie rewiru Chrapy — miotami — 9 strzelb, 19 zajęcy.

24 grudnia 1934. Polowanie w lesie rewiru Łapajówka, miotami, 9 strzelb, 74 zajęcy, 7 lisów, 2 cietrzewie.

27 grudnia 1934. Polowanie w lesie rewiru Zaradawa, miotami, 9 strzelb, 29 zajęcy, 6 lisów, 1 cietrzew.

31 grudnia 1934. Polowanie w polach gminy Wierzbna-Pełkinie, kociołkami, 9 strzelb, 257 zajęcy.

3 stycznia 1935. Polowanie w polach gminy Szówsko-Surochów-Piwoda, ławą 8 strzelb, 978 zajęcy.

4. stycznia. Polowanie w lesie rewiru Olchowa, miotami, 11 strzelb, 110 zajęcy, 4 lisy.

12 stycznia. Polowanie w lesie i polach rewiru Łapajówka-Cetula, miotami i kociołkami, 6 strzelb, 58 zajęcy.

16 stycznia. Polowanie w polach gminy Wiązownica i Nielepkowice, kociołkami, 10 strzelb, 310 zajęcy.

17 stycznia. Polowanie w lesie rewiru Górki-Ryszkowa wola, miotami, 10 strzelb, 87 zajęcy, 1 lis i 1 cietrzew.

Prócz tego padło na podjazdach 23 rogacze, 9 kóz, za zezwoleniem Województwa, 25 zajęcy, 339 kuropatw, 3 przepiórki, 94 kaczek, 1 kulon, 4 kuliki, 47 słonek, 57 kszyków. Straż łowiecka pod czas ochrony ubiła: 28 lisów, 3 tchórze, 37 łasic, 137 jastrzębi, 778 krukowatych wron i srok) 167 psów i 368 kotów.

Ogółem w ciągu całego roku łowieckiego na całym obszarze łowieckim padło: 23 rogacze, 9 kóz, 1946 zajęcy, 47 lisów, 4 cietrzewie, 339 kuropatw, 3 przepiórki, 94 kaczek, 1 kulon, 4 kuliki, 47 słonek, 57 kszyków, 778 krukowatych, 167 psów, 368 kotów, 3 tchórze, 37 łasic i 147 jastrzębi.

Zestawienie powyższe dowodzi, że oprócz słabych rezultatów z polowań 21 i 27 grudnia 1934, wszystkie inne można zaliczyć do pięknych, a niektóre nawet do rekordowych w woj. lwowskiem.

Słabe rezultaty w dwu wyżej wymienionych terenach, spowodowane są klęską gradową, która w zeszłym roku nawiedziła te rewiry.

Piękne te rezultaty to nagroda wielkiego ukochania przyrody, a z nią złączonego łowiectwa — nakładów pieniężnych na hodowlę i ochronę zwierzyny, ciągłej troski i pracy, których to nie szczędzi Ks. właściciel i w części dzierżawca gminnych terenów.

Zaznaczyć należy, że mimo mokrego roku, częściowych wylewów rzek, stan zwierzyny jest lepszy niż lat poprzednich — przyczyniła się do tego przepiękna, wczesna, sucha i ciepła wiosna.

Z powodu skrócenia czasu polowań na zające wydanego przez Województwo, nie zostały przepolowane wszystkie przestrzenie łowieckie.

Stan sarn dostateczny, a nawet wedle czynionych szkód w kulturach lasowych i polach za dobry.

Stan kuropatw bardzo ładny. Bażanty dziko hodowane — aklimatyzują się i zadowalająco rozmnażają.

W bieżącym sezonie nie polowano zupełnie w lasach Pełkińskich na dziki, mimo, że stan ich liczebnie i jakościowo piękny.

Stanisław Kisielewski

Delegat w powiecie jarosławskim.

Sprawozdanie delegackie z północnej części powiatu przeworskiego.

Tryńcza, 20 lutego 1935 r.

Nawiązując do mego sprawozdania zeszłorocznego, ogłoszonego w „Łowcu" z r. 1934, podaję garść informacyj, odnoszących się do tej części pow. przeworskiego, która stanowi mój naturalny rejon.

Po stosunkowo lekkiej zimie r. 1933/34, wiosna 1934 r. była dla rozmnoży zwierzyny wprost doskonała. Dość wczesna, sucha i ciepła, umożliwiła wychowanie się w całości marcowego miotu zajęczego i wczesne, obfite lęgi ptactwa. Jeszcze w maju i czerwcu 1934, zapowiadał się rok dla łowiectwa znakomity. Potem przyszły klęski: najpierw bardzo silny grad w środkowej i południowej części Przeworszczyzny (na północ doszedł do Jagiełły), wreszcie w lipcu 1934, wylewy rzek: małej, lecz złośliwej Mleczki w centrum powiatu, Wisłoka i Sanu w północnej jego części. Najwięk-

sze szkody wyrządził Wisłok, zalewając bardzo silnie Świętoniowę i Głogowiec, słabiej Gniewczynę łańcucką i tryniecką, Grzęskę, Wólkę Małkową i Tryńczę.

Wylewy zniszczyły na terenach zalanych część zajęcy (zwłaszcza młode), sporo kuropatw, trochę bażantów. Straty te jednak przeważnie okazały się mniejsze, niż się początkowo zdawało. Zwłaszcza w kącie między Wisłokiem, a Sanem (łowiska niżej podpisanego), gdzie gleby przeważnie zupełnie suche, a w 4/5 wolne od zalewu, przy korzystnej wiośnie umożliwiły doskonałą rozmnożę zwierzyny, stan zajęcy nawet na terenach powodziowych nie był katastrofalny, a na terenach wyższych nawet bardzo dobry. Nastąpiło zresztą pewne wyrównanie się zwierzostanu pomiędzy terenami wolnemi od zalewu, a powodziowemi. Po wylewach i przy ciągłych deszczach letnich, wystąpiła motylica. I znowu w kącie północnym minimalnie, pomimo obaw jakie żywiono co do niej. Najwidoczniej naturalne warunki higjeniczne są tutaj bardzo dobre. Natomiast znacznie większe straty wyrządziła motylica w innych częściach powiatu, np. w zachodniej części łowisk Ordynacji Przeworskiej.

Rok ostatni dał mi nową sposobność do stwierdzenia, jak kapitalną rolę w rozmnoży i ochronie zajęcy i innej zwierzyny odgrywają zagajniki sosnowe na suchych piaskach. Las mój o obszarze 390 ha, położony w Tryńczy i Gorzycach na zupełnie suchych przeważnie piaskach, a posiadający znaczne przestrzenie młodych zagajników sosnowych, ma bardzo dobry stan zajęcy. Dowodem tego wynik polowania w dniu 11 XII 1934 r., kiedy to przy czarnej stopie i wilgotnym, niekorzystnym dniu, gdy zwierzyna trzymała się raczej w polu, niż w lesie, ubito wyłącznie w lesie 149, a razem z dwoma kociołkami 223 zajęcy. W sąsiadującym bezpośrednio na znacznej przestrzeni lesie X. Lubomirskiego, większym, lecz złożonym głównie z drągowin w średnim wieku, a przytem położonym częściowo na glebie wilgotniejszej, przy silnym mrozie i wietrze i białej stopie, gdy zając chronił się głównie w lesie, ubito w dniu 8 I. b. r. tylko 68 zajęcy.

Należąca do łowisk Ordynacji Przeworskiej wieś Jagiełła w lipcu 1934 r., zalana została przez przepływający przez nią potok na przestrzeni około kilkuset morgów, bezpośrednio na południe od granicy Gorzyc. Wody zalewu stały długo na niskich łąkach i polach, tworząc rozległe jeziora i bagna z setkami kaczek. Zdawało się, że wyginąć tam musiały wszystkie zające, że po ustąpieniu wód resztę wyniszczy motylica i pozostanie tam pustynia, na której nie będzie można polować przynajmniej przez dwa lata. A jednak na polowaniu urządzonem przez Ordynację Przeworską w dniu 14 I. b. r., najlepszy kocioł z rozkładem ponad 80 zajęcy był właśnie na tych polach wzdłuż granicy Gorzyc. Przyczyna tego prosta: na terenie Gorzyc, przy samej granicy Jagiełły rozciąga się 64-morgowy zagajnik sosnowy na suchych piaskach. Przy dobrej ochronie ze strony straży łowieckiej niżej podpisanego, stanowi on dla zwierzyny doskonały schron i teren rozmnoży. A zaznaczam, że na wymienionym terenie Ordynacja Przeworska poluje corocznie.

Kłusownictwo i wnykarstwo w roku ostatnim zmniejszyło się w łowiskach Ordynacji Przeworskiej i moich dzięki staraniom straży łowieckiej i surowym karom, nakładanym przez Sąd i Starostwo.

Najwięcej szkód wyrządzają obecnie w zwierzynie szkodniki zwierzęce, zwłaszcza zaś psy i koty. Pomimo stałego ich tępienia, liczba kotów co roku wzrasta, co roku więcej pada ich z rąk myśliwych i straży. W roku ostatnim zaobserwowano niebywale dużą ilość kotów zupełnie zdziczałych, polujących nawet w lasach i zaroślach bardzo daleko od wsi. Zwiększa ilość tych szkodników w tej części powiatu gęstość osiedli ludzkich, często nieregularnie porozrzucanych.

Zbyt małą uwagę zwraca się ciągle jeszcze na odróżnianie bezwzględnie szkodliwych ptaków drapieżnych dziennych, jak np. gołębiarze, od pożytecznych, jak np. myszołowy i pustułki, czy też zasługujących na ochronę z powodu swej rzadkości jak np. niektóre sokoły. Zarówno w kwestjonarjuszach urzędowych, jak w wykazach poszczególnych łowisk, ujmuje się je w rubrykę „jastrzębi". Iluż „myśliwych" strzela do każdego np. myszołowa włochatego i pyszni się ubiciem tego ptaka, głosząc wszem wobec, że w myśl starej zasady myśliwskiej bić należy „wszystko, co ma krzywy dziób i szpony!" „Myśliwych" takich spotykałem niestety niejednokrotnie i w sezonie ostatnim. Strzałowe za „jastrzębie" wypłaca się najczęściej na podstawie dzióba, przyniesionego przez strażnika. Pora to zmienić! Wobec ogromnej zmienności upierzenia i szczegółów budowy tych drapieżców, określenie ich systematyczne na podstawie samego dzióba jest najczęściej niemożliwe. Gospodarze łowisk powinni określać ubite ptaki drapieżne jedynie mając w ręku okazy całe i uczyć straż łowiecką rozróżniania poszczególnych gatunków. Jest to minimum tego, czego od gospodarzy łowisk domagać się musi dzisiejsza kultura myśliwska, zarówno we własnym ich interesie, jak dla tych, którzy to zrozumieć potrafią, w związku z ochroną przyrody.

Ważniejsze zresztą jest tępienie kotów i psów.

Łowiska Ordynacji Przeworskiej, obejmujące w jednym kompleksie około 20.000 ha w powiatach przeworskim i łańcuckim, zagospodarowane bardzo dobrze, ucierpiały w r. 1934 niewiele od powodzi, natomiast silnie od motylicy w częściach zachodnich. Wskutek tego opolowano w r. 1934/35 tylko ⅓ obszaru łowisk. Pomimo hodowli bażantów, prowadzonej z dużym nakładem w dwóch bażantarniach, stan ich był stosunkowo słaby i ubito ich niewiele. Powodem tego wytrucie kilkuset sztuk pszenicą zatrutą, sypaną po polach przeciw myszom, lecz zakładaną nieumiejętnie: zbyt płytko, zamiast do głębi nor mysich. Najwięcej bażantów otruło się w Nowosielcach, przeważnie na własnych polach ordynackich.

Ubito ogółem: 5 rogaczy, 842 zajęcy, 21 królików dzikich, 179 bażantów, 113 kuropatw, 1 kaczkę krzyżówkę, 19 kszyków, 1 słonkę. — 3 lisy, 1 kunę, 23 tchórzy, 14 łasic, 79 psów, 128 kotów, 69 jastrzębi, 2 kruki, 239 wron, 96 srok.

Wykaz ten otrzymałem na moją prośbę z Zarządu lasów ordynackich. Niestety nie nadesłano mi — o co prosiłem — spisu wyników poszczególnych polowań. Podać mogę tylko rezultaty dwóch polowań z mego bezpośredniego sąsiedztwa:

8 I. 1935. Gorzyce — Jagiełła, kniejowe. Stopa biała, silny mróz i wiatr. 68 zajęcy.

14 I. 1935. Jagiełła — Chałupki gorliczańskie — Gorliczyna, kociołkowe. Stopa biała, twarda, 235 zajęcy.

Łowiska moje, położone w widłach Wisłoka i Sanu, liczą wraz z przyłączoną do nich obecnie częścią Leżachowa w pow. jarosławskim, liczą około 4.600 ha. Ze względu na zalanie w r. 1934 przez Wisłok i w bardzo małej mierze przez San około ⅕ obszaru, opolowano na zające w pow. przeworskim tylko około 2.300 ha.

Dnia 10 XII. 1934, polowano w Gorzycach, Ubieszynie i Tryńczy w 14 strzelb. Stopa czarna, twarda, silny wiatr. W dwóch miotkach leśnych i 6 kotłach, ubito 213 zajęcy.

11 XII 1934, polowano w Gorzycach, Tryńczy i Wólce Ogryzkowej w 17 strzelb. Stopa czarna, półtwarda, silny wiatr, chwilami z deszczem. W 10 miotach kniejowych i dwóch kotłach, ubito 223 zajęcy, 1 lisa, 2 bażanty. — Razem w obydwu dniach padło 436 zajęcy, 1 lis, 2 bażanty. Królował dr. Adam Midowicz z 50 zającami.

Ogółem w r. 1934/35 ubito w moich łowiskach:

6 kozłów (oprócz tego 1 zakłuty podczas walki przez drugiego, 1 rozjechany przez pociąg), 523 zajęcy, 1 lisa, 18 bażantów, 580 kuropatw, 22 przepiórek, 3 gołębie grzywacze, 21 kaczek krzyżówek, 89 kaczek cyranek i cyraneczek, 1 kaczkę podgorzałkę, 54 kszyki, 7 chróścieli, 2 słonki, 23 sztuki innego ptactwa błotnego. — 87 psów, 199 kotów, 129 srok, 119 wron, 2 gołębiarze, 3 krogulce, 10 błotniaków stawowych.

Stan zwierzyny w r. 1934/35 w północnym kącie powiatu był następujący: Sarny — stan zupełnie dobry, strat wskutek powodzi nie było. Zające — na terenach powodziowych (około ⅕ obszaru) stan mierny, na terenach niezalanych bardzo dobry, wyjątkowo dobry w lesie w Tryńczy i Gorzycach.

Straty wskutek powodzi wyniosły na terenach zalanych 20 do 40%. Kuropatwy i bażantów stan dobry, na terenach powodziowych słaby.

Przepiórek zaobserwowano więcej, niż w latach ubiegłych, chociaż wogóle już od szeregu lat jest ich niewiele. Natomiast wskutek powodzi zwiększyła się wydatnie, choć tylko przejściowo, ilość ptactwa wodnego i błotnego. Po powodzi i słotach letnich po wszystkich dołkach i łączkach śródpolnych potworzyły się mniejsze i większe stawki, gdzie chętnie przebywały kaczki, żerując na zbożach, zalanych przez rzeki, czy przez lokalne wody deszczowe. Były to głównie cyranki, w stadach od kilku do kilkuset sztuk;

najwięcej przebywało ich na płaskich zalewach w Jagielle (łowiska Ordynacji Przeworskiej), pozatem w Głogowcu, przy ujściu Wisłoka do Sanu. Krzyżówek było mało. Pozatem dużo kszyków, siewek i najrozmaitszego ptactwa błotnego. W jesieni był wyjątkowo silny nalot obcych (w znaczeniu lęgowem) jastrzębi, zwłaszcza błotniaków stawowych. Ofiarą ich, obok ptactwa, padło po lasach dużo wiewiórek. W październiku obserwowano przez czas dłuższy w lasach tutejszych orlika grubodzióbego (Aquila clanga), który należy tutaj do rzadkości.

Dużo było bocianów, a w sierpniu widywałem nawet przez czas dłuższy 7 bocianów czarnych, które w przelocie zatrzymywały się przez około 3 tygodnie na polach i łąkach Leżachowa i Gorzyc nad Sanem.

W stosunku do stanu przedwojennego (żądają tego kwestjonarjusze Starostwa), oceniam następująco zwierzostan moich łowisk:

Stan sarn dużo lepszy (150% przedwojennego), taksamo stan zajęcy i bażantów na terenach niezalanych (150—250% zające, około 200% bażanty). Do poprawy stanu bażantów przyczyniła się hodowla ich w Ordynacji Przeworskiej. Stan kuropatw i bażantów, oraz zajęcy na terenach powodziowych jest mniej więcej równy przedwojennemu. Mniej jest obecnie przepiórek (40—70%), choć w roku ostatnim dała się tu zauważyć pewna poprawa. Nieco mniej jest kaczek dzikich. Stan ich (mowa o kaczkach lęgowych), zmniejszył się raptownie po katastrofalnej zimie 1928/29 i teraz dopiero podnosi się powoli i stopniowo (obecnie około 80% dawnego). Na jego stosunkowo niski poziom wpływa oczywiście w najwyższym stopniu naturalne, bądź też sztuczne osuszanie bagien i łąk mokrych.

Dostarczony mi przez Starostwo wykaz ubitej zwierzyny łownej i szkodników na terenie pow. przeworskiego w czasie od 1/II 1934 do 31/I 1935, przedstawia się następująco:

Zajęcy 1824, rogaczy 21, bażantów 253, kuropatw 809, przepiórek 23, jarząbek 1, kaczek 145, kszyków 54, słonek 3, kuloników 5, chróścieli 4. — Dzików 8, lisów 6, psów 226, kotów 413, kuna 1, tchórzy 23, łasic 26, jastrzębi 128, wron 456, srok 272, kruków 8.

Z wykazu tego wynika, że stosunkowo znaczna część zajęcy i lwia część ptactwa, padła w północnej części powiatu w łowiskach Ordynacji Przeworskiej i niżej podpisanego. Prawie cała reszta zajęcy i większość bażantów ubita została w strefie środkowej, dziki natomiast w strefie południowej, górzystej.

Sprawozdanie z reszty powiatu, przedstawi kolega-delegat, p. Zdzisław Wolski z Siennowa.

Dr. Marjan Nowiński
Delegat M. T. Ł.

Wysuczka, 15 marca 1935.

Na terenach łowieckich Ordynacji Wysuckiej, ubito w ciągu roku 1934, łącznie z polowaniem w dniach 3-go i 4-go stycznia 1935 r.: dzików 10, rogaczy 10, lisów 15, zajęcy 125, psów 50, kotów 64, łasic 58, jastrzębi 15, kruków 22, wron 91, srok 194, sojek 44. — Wybrano jaj 288 (srocze i wronie).

Dziki tworzą, o ile to o tej zwierzynie powiedzieć można, stan stały, wahający się ilościowo między 50 a 100 sztuk — mając w rewirze Wołkowce idealne, naturalne, oraz stworzone przezemnie warunki bytowania. Nie opuszczają go nigdy i tu jako w jednej z nielicznych na tych krańcach Polski ostoi, mnożą się spokojnie i szczęśliwie, a tylko duch niespokojny tego zwierza, każe mu w bliższe i dalsze okolice robić wypady, skąd oczywiście zdziesiątkowane, do kniei swej macierzystej wracają. Może to i złem nie jest, gdyż chroni mnie to od zbytnich szkód materjalnych, a bliższym i dalszym sąsiadom sprawia emocje i radości łowieckie. W kniei Wołkowce są one poza jednem polowaniem nietykalne.

Stan sarn jak najlepszy, a jeżeli przez lato padło rogaczy tylko 10, to tylko z braku łaskawych na mnie gości.

Katastrofę za to zanotować należy w rodzie zajęczym, które choć na wiosnę pokazywały się licznie, uległy przez lato szerzącej się motylicy, tak, że np. w rewirze Piszczatyńce, gdzie miewałem rozkłady do 250 sztuk, ubiliśmy 4-go stycznia 72 sztuki.

Z małemi odchyleniami ten sam stan zajęcy byłby do zanotowania w całym naszym powiecie. I tak: w Ordynacji Skała, padło 1/XII w 6 strzelb 47 zajęcy, 10/XII w 8 strzelb 47 zajęcy, 17 bażantów, 4 lisy; 11/XII 93 zające, 6 lisów; 12/XII 50 zajęcy, 2 bażanty, 5 lisów; 5/I 1935 dodatni wyjątek, 122 zające, 8 lisów; w Sapokowie padło 25/I w 5 strzelb 24 zajęcy, 1 lis, 1 krogulec; w Krzywczu 26/I w 12 strzelb 40 zajęcy; w Zielińcach 30/I 43 zające, 3 lisy.

Z innych terenów, na których nie byłem, podobne cyfry mnie dochodzą. Miejmy nadzieję, że dożyjemy lepszych czasów, gdyż tu gdzie brak bażantów i brak wszelkiego ptactwa, któreby nam w lecie nieco rozrywki dawało, jest zając jedyną zwierzyną, dla chcących ze śrutówką polować.

Nawiązując do odezw Wydziału odnośnie do położenia finansowego Towarzystwa, chcę dla przykładu podać, że powiat nasz ma wprawdzie tylko 9-ciu członków, jednak zaległości ich są minimalne, a mam nadzieję, że po obecnej mojej interwencji u trzech restantów, będą żadne. Oby tak było we wszystkich powiatach!

C. C. G.

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE Z POSIEDZENIA WYDZIAŁU M. T. Ł.
w dniu 12 marca 1935.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi: A. hr. Gołuchowski, A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału M. Chrzanowski, Dr. St. Gajewski, Dr. Fr. Piechowski, St. Pieńczykowski, inż. T. Sroczyński, A. Ulm i zastępca St. Jaśkiewicz. — Nieobecność usprawiedliwili Wł. Garapich, H. Prek i Dr. W. Ziembicki.

Wiceprezes A. Sander oznajmił, że akcja zainicjowana przez zebranie delegatów z dnia 2 lutego b. r., jest w pełnym toku.

Inż. Sroczyński zdał sprawę z zebrania konstytucyjnego Lwowskiego Oddziału Polskiego Związku Strzeleckiego, oznajmiając, że on został wybrany prezesem tego Oddziału, zaś St. Jaśkiewicz kapitanem sportowym. Wybrano Komisję dla rozpatrzenia sprawy przystąpienia do Związku — M. T. Ł., względnie jego członków, interesujących się strzelectwem.

Delegatami mianowano: Dr. Adama Midowicza w powiecie łańcuckim, Kazimierza Leszczyńskiego w powiecie złoczowskim, Kazimierza Ćwiczyńskiego w powiecie stanisławowskim i Aleksandra Ulma w powiecie mościckim.

Zwolniono od dalszego sprawowania obowiązków delegackich: Stanisława Krajewskiego w powiecie radziechowskim, Karola Eterlego w powiecie przemyślańskim i inż. Juljusza Lindego w powiecie kołomyjskim, ostatniego na własne żądanie.

W poczet członków zostali przyjęci: Bochdan Józef, Cechak Konrad, Danielewicz Marjan, Tow. Łow. „Diana" w Łańcucie, Dobiecka Stefanja, Dr. Hirschler Jan, Kielar Wojciech, Kocowski Klemens, inż. Korasiewicz Mieczysław , Korwin Maciej, Kowalski Antoni, Kozłowski Lesław, ppułk. Mossor Stefan, ks. Pasternak Adam, Stanslicki Edward, Sapieha ks. Andrzej, Jastrzębiec Wodziński Tadeusz, Zajączkowski Tadeusz, Zieliński Roman i Żurowski Adam.

SPRAWOZDANIE KRAKOWSKIEGO ODDZIAŁU MAŁOP. TOW. ŁOWIECKIEGO Z POSIEDZENIA WYDZIAŁU
w dniu 15 marca 1935 r.

Obecni na posiedzeniu prezes Adam hr. Starzeński, wiceprezes dr. Adam Lardemer, członkowie Wydz.: Marjan Jagusiński, dr. Bolesław Korolewicz, prof. dr. Juljan Nowak, Stanisław Morawetz, dr. Jan Robel, Stefan Różecki i dr. Józef Surzycki.

Usprawiedliwił nieobecność inż. Bolesław Szarek.

P. Prezes w zagajeniu posiedzenia, imieniem własnem i całego Wydziału wita z prawdziwą radością, biorącego udział w posiedzeniu po raz pierwszy, prof. U. J. b. premjera dr. Juljana Nowaka i dziękuje mu za przyjęcie zaproszenia do wstąpienia w skład Wydziału. Następnie poświęca Prezes żałobne wspomnienie zmarłemu wieloletniemu członkowi Oddziału i delegatowi, ś. p. rej. Karolowi Braunowi w Wieliczce.

Po przyjęciu protokołu z poprzedniego posiedzenia Wydziału z dnia 20 listopada ub. r., zatwierdzono przedłożony preliminarz Oddziału na rok 1935.

W sprawie propagandy postanowiono narazie rozesłać między PP. Delegatów i Członków Oddziału po kilka formularzy zgłoszeń przystąpienia, z prośbą o pozyskanie nowych członków dla

Towarzystwa. Nadto uchwalono połączyć z dorocznem Ogólnem Zebraniem Członków w maju b. r. także osobny Zjazd Delegatów Oddziału, celem bliższego jeszcze omówienia w rzeczach przyjścia Oddziałowi z dalszą moralną pomocą dla umożliwienia mu przetrwania kryzysu gospodarczego. Na tym Zjeździe poruszone też zostaną niektóre ważniejsze sprawy dotyczące naszego łowiectwa.

W przedmiocie strzelectwa myśliwskiego zdecydowano narazie poczynić starania o umożliwienie odbywania ćwiczebnych strzelań na strzelnicy z myśliwskiej broni kulowej i śrutowej w siedzibie Zarządu Oddziału, poczem dopiero z okazanego zainteresobie Zarządu Oddz., poczem dopiero z okazanego zainteresowania wnioskować będzie można o ewent. rozszerzeniu tej imprezy.

Delegatem na powiat bocheński mianowany został rejent Witołd Michałowski w Bochni.

Wpisani zostali w poczet członków Oddziału Tow. dr. Karol Bunsch w Krakowie, Dyrekcja Dóbr Żywieckich w Żywcu i Edward Kozłowski w Chrzanowie.

Przedmiotem zainteresowania zebranych była także sprawa zamierzonego w przyszłości plombowania bitej zwierzyny, oraz kwestja obserwacji wędrówek u kuropatw.

Zaznaczymy przytem, że z początkiem marca b. r., rozesłaliśmy otrzymane dla odznaczonych w zeszłym roku od Polsk. Związku Stow. Łow., medale z dyplomami.

Wkońcu pozwalamy sobie ponownie przypomnieć opłatę bieżących i zaległych wkładek członkowskich. Przypomnienie łączymy dziś z bardzo usilną prośbą o spełnienie przez zalegających tego podstawowego ich obowiązku członkowskiego, ilość bowiem niezapłaconych wkładek za sam I kwartał b. r., jest niezwykle znaczną, obok jeszcze zaległości z IV kwartału i dawniejszych. — Opłaty prosimy uskuteczniać w drodze P. K. O. na konto naszego **Oddziału Nr. 405.265.** Jeżeli kto przez omyłkę przekazał nam już gotówkę przez P. K. O. na konto Centrali Małop. Tow. Łow. we Lwowie Nr. 145.839, to prosimy nas o tem, po sprawdzeniu numera konta na czeku, bezwłocznie zawiadomić, podając zarazem, ile i kiedy przekazano, ażebyśmy mogli sprawę odpowiednia uregulować.

Z Wydziału
Oddziału Małop. Tow. Łow. w Krakowie.

KOMUNIKAT

Z Sekretarjatu generalnego Międzynarodowej Rady Łowieckiej otrzymaliśmy następujący komunikat z prośbą o ogłoszenie w naszem piśmie.

M. R. Ł. zaproponowała wszystkim krajom jednolite oznaczenie dymensji śrutów według ćwiartek milimetra. Większość krajów zastosowała się już do tego życzenia.

M. R. Ł. proponuje obecnie w dalszym ciągu, aby prócz oznaczania na centkach dymensji śrutów w milimetrach, wprowadzono jeszcze dla śrutów najbardziej używanych, centki odmiennego koloru i tak dla śrutów:

2,50 mm centkę koloru zielonego,
3,00 mm „ „ niebieskiego,
3,50 mm „ „ czerwonego,
4,00 mm „ „ żółtego.

Użyteczność takiego ulepszenia nie wymaga komentarzy i należy sobie życzyć, by ono zyskało najrychlej obywatelstwo we wszystkich krajach.

STRZELECTWO.

Dnia 9 marca b. r., utworzył się we Lwowie Oddział Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego. Związkowi powyższemu podlegają wszystkie zawody strzeleckie na obszarze D. O. K. VI., organizowane już to przez sam Związek, lub też przez kluby strzeleckie klubów sportowych, zrzeszonych w Związku. Z powyższych zawodów eliminuje się zawodników do strzeleckich zawodów narodowych, a ustanowione rekordy, uznawane są za oficjalne. Do zarządu P. Z. S. S. weszli z wydziału M. T. Ł., inż. T. Sroczyński jako prezes i mr. St. Jaśkiewicz, jako kapitan sportowy. M. T. Ł. przystępuje do P. Z. S. S. i zwraca się do swych członków chcących brać udział w zawodach o bezzwłoczne zgłaszanie się ustnie lub też pisemnie w kancelarji M. T. Ł., gdyż z członków tych zostanie utworzona sekcja strzelectwa sportowego, a członkowie sekcji będą zgłoszeni imiennie do P. Z. S. S. Każdy członek sekcji otrzyma z P. Z. S. S. za opłatą 25 gr. legitymację, uprawniającą go do brania udziału we wszystkich zorganizowanych zawodach strzeleckich. Wkładka roczna do P. Z. S. S. wynosi 40 gr. rocznie od członka. P. Z. S. S. organizuje w tym roku kilka imprez strzeleckich ze strzelaniami myśliwskiemi, a terminy i programy zawodów, podamy w następnym numerze „Łowca".

TREŚĆ NUMERU 4:

Witołd Ziembicki: Myślistwo a muzyka (ciąg dalszy). — *Antoni Pisuliński*: Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych (c. d.) — *Mieczysław Kosielski:* Na ciągu (wiersz). — *Tytus Kazimierz Karpowicz:* Trio.. (fejleton). — *Wł. K.:* Pod głuszcem karpackim. — *Kazimierz Wysocki:* Początek polowania — czy przygotowanie do polowania. — „Niema nic ponad jelenia karpackiego". — Nekrologi: Ś. p. Kazimierz Gołębski. Ś. p. Juljusz Biedermann. Ś. p. Adam Ujejski. — *W. Ziembicki:* Notatki bibljograficzne. — Korespondencje. — Sprawy Towarzystwa. — Komunikaty.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. — Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., ½ str. 60 zł., ¼ str. 30 zł., ⅛ str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5, drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Redakcja nie zwraca rękopisów już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 218-59. — Oddział w Krakowie, ul. Kremerowska 12, P. K. O. 405.265.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 204-32.